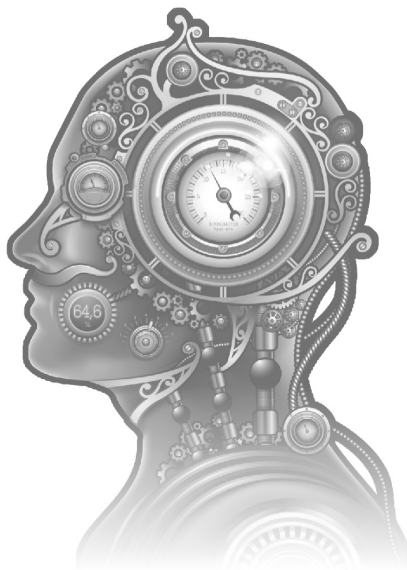


Przedksiężycowi

Anna Kańtoch

Przedsiębiorcy II



powergraph

Warszawa 2013

Copyright © 2013 by Anna Kańtoch
Copyright © 2013 by Powergraph
Copyright © 2013 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski i Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na I okładce: Rafał Kosik i Adelevin
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-76-9

Printed in Poland, EU

Część I
Trzydzieści dwa sposoby
efektownego uśmiercania ludzi

Finnen

Noc, gdy ogłoszono Skok, wspominam jako serię obrazów. Miasto dyszące żądzą zabawy, otwarte na oścież drzwi winiarni, skąd wylewały się potoki światła i od czasu do czasu wytaczali się objęci wpół pijacy. Śmiech i śpiewy. Plac Żonglerów i dziewczyna, którą mężczyzna trzymał na ramionach, wirując w koło. Odchylona do tyłu, z przymkniętymi oczami, na których osiadały płatki śniegu. Jej białe, nagie ręce przecinające mrok jak dwie jasne wstęgi. Na twarzy miała osobliwy wyraz sennej zadumy, kontrastujący z ożywieniem mężczyzny, który śmiał się i krzychał na wiatr: „Hej, hej, jeszcze raz! Hej, hej, jeszcze raz!”.

Ciepło ludzi stłoczonych w knajpie, której nazwy nie pamiętam, krążące z rąk do rąk kubki z letnim kwaśnym winem, pitym, choć jego smak palił w gardle. Bezustanne potrącanie się i wpadanie na siebie przy wtórze chichotów, zapach perfum zmieszany z wonią potu i oddechów, w których czuć pieprzowe cukierki. Zaskakująco przyjemna intymność tańca do muzyki, której nikt nie słuchał, w momencie gdy taniec polegał już właściwie tylko na tym, by zwiśać w ramionach przypadkowego partnera i szurać nogami po wyslizganej posadzce. Roześmiane, jaśniejące twarze z oczami błyszczącymi jak szkło i lękiem pulsującym płytko pod napiętą, wilgotną skórą.

Pamiętam dziewczynę, właściwie jeszcze dziecko, oderwaną od wianuszka przyjaciółek, które od czasu do czasu machały jej z drugiego końca sali. Pozwalała trzymać się za rękę, ale nie pocałować, i przez cały czas mówiła. Każde jej słowo wydawało mi się odkryciem na miarę nowego wynalazku Archiwum i każde najdalej po dwóch sekundach wypadało z pamięci. Była koścista i niezgrabna, jakby składała się z samych łokci i kolan, a jej piersi ledwo wypychały cienką bluzkę, jednak pragnąłem jej tamtej nocy bardziej niż jakiegokolwiek kobiety, jakbym kochając się z kimś, komu nie groził jeszcze Skok, mógł odeprzeć własną śmierć.

Wreszcie Kaira stojąca nade mną. Jej głowa i ramiona jak rzeźba z płonącego świetlika na tle wschodzącego słońca, i cierpliwy upór, kiedy kucnęła, ześlizgując się ze światła w cień, by dotknąć mojego ramienia.

— Już czas — powiedziała.

1

Finnen malował w pośpiechu – czerwień oraz oranż, by podkreślić ślad, jaki zachodzące słońce zostawiało na czarnych płytach, biel strojów pielęgniarek i woskową żółć ich twarzy.

Trzy Skadranki pozowały cierpliwie na ostatnim, najwyższym z tarasów wieży art-zbrodniarzy. Podmuchy chłodnego wiatru od czasu do czasu przynosiły tu odgłosy miasta: nawoływania akrobatów, którzy popisywali się swą sztuką na Schodach Miedzianych, dźwięki muzyki i wybuchy narkotycznych śmiechów. Ten sam wiatr szarpał włosy, które wymknęły się spod dopasowanych pielęgniarских czepków, jednak żadna z kobiet nie podniosła lewej, ludzkiej dłoni, by je poprawić. W tym bezruchu był rodzaj zwierzęcej obojętności: twarze bez wyrazu wpatrzone w niebo, ręce luźno opuszczone wzdłuż tułowi i zaczerwienione z zimna nosy. A pod stopami Skadranek trzy bliźniacze sylwetki rozmazane na płytach tarasu – wykrochmalona biel unurzana w czerwieni słońca i metaliczne błyski noży oraz igieł w miejscu, w którym powinny znajdować się odbicia prawych dłoni.

Finnen wiedział, że to będzie dobry obraz, czuł to każdym nerwem ciała. Bolał go nadgarstek, ręce grabiały z zimna,

a pęcherz domagał się opróżnienia, lecz chłopak ani na chwilę nie zwalniał tempa. Nareszcie potrafił uchwycić wizję, która tkwiła w jego głowie, i przelać ją na płótno. To przychodziło tak łatwo i prosto, jakby nigdy nie było pustych godzin spędzanych w udreće przed rozpoczętym dziełem ani męczących rozważań, jakiej techniki czy której farby użyć. Właśnie teraz, gdy tworzył swój ostatni obraz w życiu, Finnen został obdarzony łaską geniuszu i przyjął ją z wdzięcznością, lecz bez zdziwienia.

Tak właśnie powinno być.

Malował, podczas gdy piąta osoba na tarasie – osoba, o której Finnen bezustannie zapominał, nie była bowiem częścią obrazu – wyrzucała z siebie potok słów.

– ... rzeczy, które można znaleźć na plaży – mówił mężczyzna siedzący tuż obok ze skrzyżowanymi nogami – martwe wodorosty, puste muszle, bursztyń, drewno z rozbitych statków oraz trupy topielców.

– Nie powinien pan siedzieć na tych płytach – odparł Finnen z roztargnieniem, nie odrywając wzroku od płótna. Urhel Jayha, którego dostrzegał kątem oka na granicy pola widzenia, z jego perspektywy wyglądał jak stos szarych piór zwieńczonych siwo-czarną czupryną. – Są lodowato zimne, przeziębili się pan.

– Zapłaciłem za najwyższej klasy odporność – wyjaśnił Jayha. – Zresztą czyż nie byłoby to zbyt wielką ironią losu, gdybym zapłacił za genozmianę, a potem został z tyłu z powodu kaszlu i bolącego gardła? Jak pan sądzi?

Finnen nie miał pojęcia, czy to naprawdę jest pytanie – przez większość czasu Jayha zdawał się mówić do siebie – przerwał jednak pracę i spojrzał na niego.

– Odporność ma sens, gdy człowiek dba o siebie choć trochę – oznajmił łagodnie, jakby tłumaczył coś dziecku. – A Przedksięzycowi bardzo nie lubią chorych. Nawet najłżejsza dolegliwość jest niebezpieczna podczas Skoku.

– Tak, wiem. Oczywiście, że wiem.

Finnen już miał wrócić do pracy, coś jednak go powstrzymało. To był nowy impuls, nowe pragnienie. Pomyślał, że dobrze byłoby namalować jeszcze kiedyś inny obraz.

Człowiek w płaszczu z gołębih piór siedzący ze skrzyżowanymi nogami na tarasie. Czarne włosy z siwymi pasmami okalają młodą twarz – choć jeśli przyjrzeć się dokładnie, widać już pierwsze zmarszczki wokół oczu i ust. Niżej wiotkie nadgarstki oraz duże, niezgrabne dłonie, którym mężczyzna przygląda się, jakby rozważał, do czego właściwie służą.

To również mógłby być dobry obraz, lecz Finnen wiedział, że nigdy go nie namaluje, i poczuł ostry, nagły ból, jak cios prosto w serce. Tutaj i teraz kończyła się jego artystyczna kariera.

Wrócił do malowania. Dłoń lekko mu drżała, ale uspokajał się powoli. Sięgnął po czerń, by oddać kolor płyt tarasu; miękkie pociągnięcia pędzlem łagodziły ból i sprawiały, że Finnen znów skupił się wyłącznie na chwili teraźniejszej, jakby przyszłość nigdy nie miała nadejść.

Obok szemrał cichy głos Jayhy.

– ... ptaki, które najbardziej lubią latać w czasie sztormu, a na ląd wracają tylko po to, żeby złożyć jaja i odchować pisklęta. Ich gniazda znajdują się w szczelinach klifów, tak wysoko, że żaden człowiek nie zdołałby tam się wspiąć. Czy to one łączą się w pary na całe życie? Nie pamiętam już. Moja wiedza wycieka ze mnie, rozumie pan? Z każdym dniem jest jej mniej i mniej. Jutro przejdę ostatni zabieg, a wtedy nic nie zostanie. A ja będę mordercą.

– Dlaczego więc zdecydował się pan na genozmianę, skoro tak się to panu nie podoba? – zapytał Finnen, nie przerywając pracy.

– Poznałem kogoś, kto o morzu wie więcej niż ja, i pomyślałem sobie, że przy Przebudzeniu nie będzie miejsca dla nas dwóch. Ale dla morderców zawsze jest miejsce.

– Dość paskudny wniosek.

– Sądzi pan, że będę potrafił zabić, kiedy już przejdę wszystkie zabiegi?

— Jeśli nie, może pan zażądać zwrotu pieniędzy. I naprawdę powinien pan wstać z tarasu...

— Wie pan, że morskich ptaków nie można hodować tak jak gołębi? One umierają w niewoli... A raczej umierały, kiedyś, dawno temu, gdy próbowano chwytać ostatnie okazy, zanim powymierały całe gatunki. Ja czasem udaję, że mój płaszcz zrobiony jest z piór petreli, nurów albo dumnych albatrosów...

Jedna z nieruchomych dotąd Skadranek drgnęła lekko i odwróciła się w stronę Finnena. Dwie pozostałe powtórzyły jej ruch, jak lustrzane odbicia.

Jeszcze chwila, błagam, jęknął w duchu chłopak. Zacisnął szczęki, nadgarstek rwał bólem tak mocnym, że zamalowane płótno zmieniało się przed oczami w czarną plamę – ale dłoń sama odnajdywała miejsca, w których trzeba nałożyć farbę, być może teraz mógłby skończyć obraz nawet na ślepo.

I skończy, jeśli tylko dostanie tę ostatnią, króciutką chwilę.

Kobiety ruszyły w jego stronę – jedna na przedzie i dwie po bokach, nieco z tyłu, tak iż Finnenowi kojarzyły się z prującym fale dziobem okrętu. Odznaczające się za uszami różowe płyty skrzeli drgały lekko. Z bliska obłe, owadzie twarze pielęgniarek wyglądały, jakby ktoś rzeźbił je w glinie, a potem porzucił tuż przed ostatecznym szlifem, który anonimowej bryle nadaje indywidualny charakter.

Skadranie, ludzie roju.

— Już czas. — Pierwsza z kobiet położyła Finnenowi na ramieniu lewą rękę, podczas gdy prawa, ta zakończona chwyta-kami, nożami oraz igłami, musnęła łokieć chłopaka.

— Wiem.

Pędzel ostatni raz dotknął płótna, a potem upadł na taras i potoczył się pod nogi Skadranki. Przepęlny szczęściem Finnen, pojękując, masował nadgarstek.

— Już czas — powtórzyła kobieta. — Straciłyśmy go sporo, spełniając pana zachciankę i pozując, ale teraz nadeszła pora, by udać się na zabieg.

Finnen wstał, pod jedną pachę wziął złożone krzesło, a pod drugą gotowy obraz, po czym ruszył za trzema Skadrankami, na pożegnanie rzucając spojrzenie w stronę Urhela Jayhy. Mężczyzna wciąż siedział na lodowatych płytach tarasu, pogrążony w myślach o morzu, którego nigdy w życiu nie widział ani nie miał zobaczyć.

2

Okrągła sala zabiegowa miała wyłożone srebrem ściany, na których wyłoczono rzędy cyfr, oraz szyby w oknach tak ciemne, że przepuszczały ledwo odrobinę burgundowego światła. Pośrodku podłogi z szarych płyt antypoślizgowych znajdował się okrągły basen, wypełniony wodą w kolorze płatków róż, przykryty szybą, na której stało metalowe łóżko zaopatrzone w pokrętła do regulowania wysokości oraz pasy – pięć zazwyczaj używanych plus dwie pary dodatkowych, na wypadek gdyby pacjentem był odmieniec. Nad wezłowiem na ruchomym i fantazyjnie rzeźbionym pałaku zwisała nietypowa lampa: szklana kula z uwięzionymi wewnątrz świetlikami. W rogu pomieszczenia znajdował się na wpół przezroczysty parawan, za którym ktoś siedział.

Finnen przeniósł wzrok z lampy na parawan, a potem znów na lampę.

– Nie macie pozwolenia na używanie oświetlenia gazowego w pomieszczeniach?

– Oczywiście, że mamy – odparła jedna z pielęgniarek. Druga i trzecia w tym czasie sprawdziły, czy pasy przy łóżku się

nie poprzecierały. — Podobnie jak uniwersytet oraz kilka wyższych urzędów. Proszę się położyć.

Człowiek za parawanem poruszył się i Finnen dostrzegł, że sylwetka, którą z początku wziął za całkowicie normalną, jest zdeformowana.

Duszoinżynier, pomyślał. Dziwoląg.

Położył się na łóżku, oparł stopy na specjalnej podpórce i pozwolił się przymocować pasami. Nie był pewien, czy krzątające się wokół niego pielęgniarki są tymi samymi, które pozowały mu na tarasie. Wszystkie wyglądały identycznie, a tamte stracił z oczu, gdy poszedł wypróżnić pęcherz oraz zmoczyć włosy przed goleniem.

Myśl o goleniu sprawiła, że natychmiast zaswędziała go naga skóra na czaszce, ale było za późno, by się podrapać – obie ręce miał już przypięte pasami, tak samo zresztą jak i nogi. Wolna pozostała tylko głowa.

— Odrosną. — Jedna z pielęgniarek jakby odgadła jego myśli.
— Po zabiegu zaaplikujemy panu środek na porost włosów i znów będzie pan miał piękną, bujną czuprynę.

Skadranki nie tylko wyglądały identycznie, ale także mówiły podobnymi do siebie, pozbawionymi emocji głosami, wszystkie też miały skłonność do używania pełnych zdań, jakby czytały z książki. Jednak ta jedna w ledwo uchwytny sposób wydawała się inna od reszty, jakby bardziej... współczująca, a jednocześnie odrobinę ironiczna, choć możliwe, że Finnen po prostu widział to, co chciał zobaczyć.

Bardzo potrzebował współczucia i jednocześnie rozsądnie cieszył się, że go nie otrzymał. Zbyt łatwo przyszedłoby mu zrobić z tego wydarzenia tragedię – on w roli ofiary, jego poświęcenie i strata, osamotnienie i to, co odczuł jako zdradę Kairy.

Jednak mimo pokusy, by widzieć to właśnie w ten sposób, Finnen wiedział, że rzeczywistość jest znacznie bardziej skomplikowana.

Niech więc będzie tak, jak jest. Chłodny profesjonalizm Skadraneek zapewniał przynajmniej, że nie rozplacze się w kłuczowym momencie.

– Podać panu środki uspokajające?

– Nie... Tak. Może lepiej tak.

Ból wbijanej w ramię igły i krótki, gwałtowny przyptyw seksualnego podniecenia, gdy strach zmienia się w odrętwienie. Jedna z pielęgniarek znalazła się akurat tak blisko, że mógł ją chwycić za rękę, co też zrobił, po czym przesunął kciukiem wzdłuż jej linii życia. Wyszarpnęła dłoń; na trzech twarzach zobaczył trzy identyczne wyrazy zaskoczenia i zmieszania.

Skadranci nie tylko wyglądały identycznie, mówiły podobnymi do siebie, pozbawionymi emocji głosami, ale także czuły to samo, w istocie były bowiem jedną osobowością w kilku (kilkunastu?) ciałach. Gdyby kochał się z jedną, pozostałe byłyby świadome każdej sekundy tego aktu.

Finnen wyobraził to sobie, a potem zamknął oczy i spróbował się odprężyć. Wszystko wokół oddalało się od niego, obojętniało. Nawet Kaira, nawet ten moment, gdy poprosiła, by przeszedł genozmianę – zgodził się, a ona przyjęła to prostym skinieniem głowy, jak coś oczywistego, jak coś, co jej się należało.

Oczywiście powiedziała by „tak” niezależnie od okoliczności – wiedział o tym doskonale – ale nie powinno to wyglądać w ten sposób. Zabolęła go jej pewność, że on się zgodzi, czuł się w pewien sposób pomniejszony, nieważny, jak pionek, którego we właściwej chwili można przesunąć z miejsca na miejsce. Odkąd wszedł do wieży art-zbrodniarzy, bezustannie towarzyszyło mu piekące poczucie żalu i goryczy. Z drugiej strony, gdyby wówczas odmówił, z nadzieją, że Kaira będzie zmuszona go prosić, mógłby się tego po prostu nie doczekać.

Mam do niej żal, bo nie pozwoliła mi odegrać dramatycznej sceny, pomyślał w dziwnym przyptywie dobrego humoru, jakby obserwował samego siebie z boku.

Uniół powieki, gdy usłyszał szmer płóz przesuwających się po podłodze. Odwrócił głowę. Parawan podjeżdżał w stronę łóżka, a razem z nim ukryty z tyłu dziwołag.

– Jak się pan czuje? – głos był cichy, oddech mówiącego poświstywał lekko.

– Dobrze – odparł Finnen.

Świeżo wygolona czaszka wciąż swędziała, ale nawet to uczucie stało się mniej dokuczliwe. Ręce i nogi drętwiały. Jedna z pielęgniarek poruszała pokrętłami i łóżko się przechyliło – teraz stopy Finnena niemal dotykały podłogi, a jego głowa znalazła się na wysokości pasa Skadranek.

– Nazywam się Jez Liander, jestem lekarzem i będę nadzorował pana zabieg. W istocie można nawet powiedzieć, że sam go przeprowadzę, kierując dłońmi Skadranek. Wejdę w ich umysły i użyję ciał tak, jak animatorzy używają mechanicznych konstrukcji, rozumie pan?

– Rozumiem. Nie jestem dzieckiem. Po co pan mi to mówi?

– Mam obowiązek poinformować każdego pacjenta o przebiegu genozmiany. Mam również...

Duszoinżynierowi przerwał gwałtowny atak kaszlu. Jedna z pielęgniarek weszła za parawan i przyłożyła mu do ust niewielki przedmiot, którego cień zniekształcił się na zasłonie, tak że Finnen nie potrafił rozpoznać, co to jest. Doktor Liander wziął kilka głębokich wdechów. Chłopak przeniósł wzrok na twarze pozostałych dwóch pielęgniarek – obie, nim powrócił na nie wyraz profesjonalnego chłodu, pełne były niepokoju.

– Mój stan zdrowia... – wychrypiał dziwołag, gdy już mógł mówić. – Proszę się nim nie kłopotać. Ciało czasem odmawia mi posłuszeństwa, lecz moje zalety rekompensują wszelkie dolegliwości. Powiem panu teraz, jak przebiegać będzie procedura. Otóż zabieg przeprowadzimy pod wodą, która ma tę właściwość, że wzmacnia zdolności nie tylko telepatyczne, ale i telekinetyczne, tak że łatwiej będzie mi sterować ruchami Skadranek. Pan, znieczulony, ale przytomny, będzie oddychał

przez maskę tlenową, a my w tym czasie zablokujemy ośrodki w mózgu odpowiedzialne za pana obecne talenty. Nie możemy ich zlikwidować, tego nie da się zrobić, ale poniekąd odetniemy panu do nich dostęp. Dopiero potem stopniowo przystąpimy do właściwej terapii genowej, by mógł pan pozyskać nowe zdolności, które, żywią nadzieję, przyniosą panu satysfakcję. Proszę zauważyć, że taka kolejność zapobiega niebezpieczeństwu przejściowej multiplikacji talentów. Jak wiadomo, Przedsiębiorcy nie lubią osób wszechstronnie uzdolnionych, gdyby więc Skok zaskoczył pana w takim momencie, mógłby pan zostać z tyłu, a tego przecież byśmy nie chcieli, prawda?

— Ja z pewnością bym nie chciał — burknął Finnen. — Co do pana, to nie mam pojęcia.

— Jeśli więc wyraża pan zgodę...

— Wyrażam.

Gdy cień za parawanem wykonał nieokreślony gest, jedna z pielęgniarek uniosła prawą rękę. Z przegubu wysunął się dozownik. Kobieta nabrała na lewą dłoń odrobinę przezroczystego płynu i wmasowała go w łysinę Finnena. Chłopak poczuł, jak lodowaty chłód obejmuje mu głowę i spęła na drętwiejące błyskawicznie policzki.

— To miejscowy środek znieczulający — kontynuował duszoinżynier. — Nie ma powodu, żeby pozbawiać pana przytomności. Gwarantuję, że nie czuje pan bólu, choć jeśli pan sobie życzy, mogę...

— ... eee... rzeba... — wymamrotał Finnen. Wargi też już mu zdrętwiały.

— Może pan doznać pewnych przejściowych sensacji, czuć dziwne zapachy albo mieć osobliwy smak w ustach, mogą też do pana powrócić na chwilę zagubione wspomnienia. To wszystko jest najzupełniej normalne, spowodowane przypadkowym podrażnieniem poszczególnych ośrodków w mózgu i nie należy się tym przejmować.